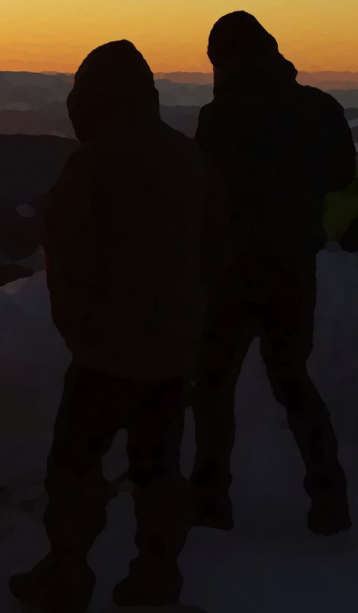


TOMASZ BIEDRZYCKI

**GDY
NADSZEDŁ
KONIEC**



TOMASZ BIEDRZYCKI

GDY
NADSZEDŁ
KONIEC

GDY NADSZEDŁ KONIEC

Tomasz Biedrzycki

Copyright © by Tomasz Biedrzycki, Jelenia Góra 2017

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie i kopiowanie całości lub części publikacji zabronione bez zgody autora.

All rights reserved

Okładka

Tomme Vasque

Korekta

Agnieszka Koprowska

Wydanie I

Jelenia Góra 2017

ISBN 978-83-64514-64-7

www.tomaszbiedrzycki.pl

PRZERWANY SEN

Z wysiłkiem otworzył oczy, zlepione zjełczałym potem dawno niemytego ciała. Potworny ból głowy, nie pozwalający myśleć, znikł. Zmarszczył czoło, usiłując sobie przypomnieć przebieg ostatnich tygodni. Chorobę, na którą zapadł wkrótce po powrocie ze stolicy. W umyśle pojawiały się obrazy. Jeden za drugim. Niepowiązane w żaden sposób ze sobą. Jakaś kobieta, mówiąca niezrozumiałe słowa, oślepiąco jasne światła. Wreszcie dobiegające skądś krzyki. Powoli, z wysiłkiem, ogniskował wzrok. Ze zdziwieniem dostrzegł pustą kropłówkę, zawieszoną na nocnej lampce. Spojrzał w dół, na rozrzucone, brudne talerze. Wielkie, czarne muchy robiły sobie na nich wyzerkę.

Ociężale przesunął się na zatechłym łóżku. Odsunięcie brudnej kołdry wymagało od niego niewiarygodnie wiele wysiłku. Minęło sporo czasu, nim usiadł, opuszczając nogi na podłogę. Na wpół otwarte okno wpuszczało do środka ożywczy powiew ciepłego powietrza, poruszając zerwaną firanę. Podnosząc się, czuł wewnętrzny niepokój. Coś przeoczył. Jakby czegoś nie dostrzegał. Z trudem oparł się o parapet, spoglądając przez okno. Na ulicy panował spokój.

Cisza! Uderzała niczym obuchem, choć był środek dnia. Miejski szum gdzieś zniknął. Obliznął wargi i zorientował się, na co patrzy. Na środku jezdni, którą codziennie jeździł do pracy, leżało kilka bezwładnych ciał. O tym, że kiedyś byli to ludzie, przypominały jedynie ubrania. Poczerniałe szczątki, przez które przeświecały kości, były wręcz nierzeczywiste. Kilkakrotnie zamrugał oczyma, jakby chciał usunąć makabryczny obraz sprzed oczu. Mignęły mu gustowne szpilki o czerwonych podeszwach. Ich właścicielka leżała pomiędzy innymi, czerniejąc w słońcu. Nie panując nad sobą, cofnął się w tył. W ostatniej chwili chwycił za oparcie krzesła, chroniąc się przed upadkiem. Próbował zrozumieć to, co zobaczył. Zamknął oczy, jak gdyby to pozwoliło wymazać wszystko z pamięci. Organizm brutalnie przypominał o sobie. Zasnęte usta piekły. Żołądek skręcał głąd. Na kilka chwil musiał zapomnieć o martwych przechodniach na ulicy. Powłócząc nogami, ospale przetoczył się do niewielkiej kuchni. Otworzył lodówkę i cofnął się na pół kroku. W nozdrza uderzył go fetor

zgniętego mięsa. Prądu musiało nie być od dawna. Wnętrze urządzenia wydawało się tętnić własnym życiem. Jasne robaki raz po raz pojawiały się na powierzchni brei. Z odrazą zamknął drzwi. Ból trzewi nie pozwalał zapomnieć o głodzie. Na stole dostrzegł batonika. Nie sądził, że ma siłę na choćby jeden krok, ale odległość do pożywienia pokonał błyskawicznie. Drżącymi dłońmi nie mógł sobie poradzić z opakowaniem. Wreszcie rozerwał je zębami. Łapczywie, gwałtownie, pochłaniał niewielki kawałek wafla w czekoladzie. Gdy skończył, stał dłuższą chwilę, starając się z całych sił nie zwrócić skromnego posiłku.

Zarośnięte policzki zaróżowiły się lekko, gdy węglowodany dotarły do krwi. Jakby dostał zastrzyk wzmacniający. Rozejrzał się przytomniej po otoczeniu. Wszystkie urządzenia elektroniczne były martwe. Również telefon komórkowy, podłączony do ładowarki. Jego wzrok padł na drzwi wiodące do pokoju gościnnego. Znacznie pewniej stawiając kroki, otworzył je. Naprzeciwko, na skórzanej sofie, kupionej niegdyś za spore pieniądze, leżało bezwładne ciało. Ubiór wskazywał na służbę zdrowia. Stąpione od smrodu powonienie nie ostrzegło go przed tym widokiem. Na niskiej ławie, stojącej obok, dostrzegł kilka opakowań leków. Pomiędzy nimi, na wpół napełnioną butelkę wody mineralnej. Opróżnił ją niemal jednym tchem. Organizm zareagował natychmiast. Pot wystąpił mu na skronie, mieszając się z brudem. Gdzieś za oknem rozległo się wycie psa. Zawtórowało mu drugie, zaraz potem trzecie. Stado zwoływało się.

Potrząsnął głową. Nie potrafił zaakceptować rzeczywistości. Obrazów, które jawiły mu się niczym senny koszmar. Przecież nie mógł chorować aż tak długo. Pamiętał z przekazów telewizyjnych informacje o epidemii i gorączkowych próbach stworzenia leku. Miał wrażenie, że bierze udział w jakimś chorym eksperymencie. Odruchowo włączył telewizor, ale urządzenie nie zareagowało.

Stał pośrodku pokoju, próbując przyjąć do wiadomości nową rzeczywistość, której stał się częścią...

LUDZIE

Powoli zapadał zmrok. Cienie niskich budynków niewielkiego miasteczka wydłużały się. Nic nie zakłócało upiornej ciszy panującej wszędzie wokół. Nawet wiatr ucichł. W wejściu do jednego z domów dało się zauważyć ruch. Pojedyncza, samotna sylwetka mężczyzny osłonięta kocem, ruszyła niepewnym krokiem przed siebie. Zdawała się nie dostrzegać leżących wokół ciał. Wytrwale podążał w stronę osiedlowego sklepu. Budynek straszył powybijanymi oknami, ale wciąż była nadzieja, że nie został splądrowany do końca. Samotny wędrowiec i tak nie miał wyboru. Ostrożnie przekroczył próg. Pod stopami zatrzeszczało rozbite szkło. Przywitały go powywracane półki, brunatne, wyschnięte ślady krwi. Świadectwo walki o kęs, gdy ludzie zmienili się w bezlitosne zwierzęta walczące o byt.

*

Konwulsyjnie, zrywami, przechodził od jednego stosu zniszczenia do drugiego. Efekt poszukiwań zaskoczył jego samego. Przed chorobą, zakupy mieszczące się w podręcznym koszu były drobnym wydatkiem. Teraz, te kilka puszek jawiło mu się niczym niezmierzone bogactwo. Pozwalało zregenerować siły. Powstrzymał się od gorączkowego rozbijania puszek i konsumpcji na miejscu. Powlókł się z powrotem do miejsca schronienia. Minał ciało opiekunki, która zmarła w pokoju gościnnym. Przeciągnął ją do wejścia, by odstraszyć ewentualnych agresorów. W mieszkaniu panował półmrok. W miarę, jak miejscowość ogarniała noc, w pokojach robiło się coraz ciemniej. Cichy szcęk otwieranych puszek nie zwrócił niczyjej uwagi. Kuchnię wypełnił zapach konserwy. Wciągał go z lubością przez dłuższą chwilę, sycąc się aromatem, jak nigdy wcześniej. W umyśle starał się przywołać wszystko, co wiedział o wpływie głodówki na organizm. Zdecydował się jeść małymi kęsami, z całych sił walcząc, by nie pożreć całości za jednym zamachem. Było lepiej niż ostatnim razem. Nie było torsji, zawrotów głowy. Niewiele zjadł, ale z każdym łykiem czuł się lepiej. Nie wiedział nawet jak i kiedy zasnął....

*

Otworzył oczy. Wciąż panował mrok. Czuł szybkie bicie serca. Intuicja ostrzegła go przed czymś. Usłyszał odległe szczekanie psa. Niespokojnie poruszył się, czekając, aby oczy przyzwyczyły się do ciemności. Poczul wewnętrzny niepokój, serce zaczęło bić jak oszalałe, gdy gdzieś na ulicy rozległ się słaby krzyk człowieka. To zelektryzowało mężczyznę. Podniósł się z posłania i w jednej chwili znalazł się przy oknie. Światło księżyca, widniejącego w pełni na bezchmurnym niebie, pozwalało obserwować otoczenie. Zaczął się zastanawiać, czy hałasy nie były wytworem sennej fantazji, gdy zza odległego rogu budynku wyłoniła się postać. Widać było, że dobywa z siebie ostatnich sił. Upadła na chłodny asfalt. Niezgrabnie próbowała się podnieść, ale jakiś cień spadł jej na plecy. Po chwili pojawił się drugi, a ulica rozbrzmiała szczekaniem psów. Samotny uciekinier nie miał najmniejszych szans. Ręce, którymi machał nieporadnie, kasało po kilka szczęk naraz. Mężczyzna wzdragał się z każdym, coraz słabszym okrzykiem rozrywanego żywcem człowieka. Jęki były coraz słabsze, ofiara przestała się opierać. Ciało bezwładnie podskakiwało, szarpane przez zdziczałe psy raz po raz. Nie potrafił odwrócić wzroku. Ukrył się jedynie przy murze, w przesadnej obawie, że horda go dostrzeże.

Choć był środek nocy, nie potrafił zasnąć. To, co zobaczył, wstrząsnęło nim do głębi. Zrozumiał, że świat, który jeszcze pamiętał, znikł bezpowrotnie. Rzeczywistość, powstała na gruzach starego porządku, opierała się na najstarszych prawach natury. Ta okrutna myśl nie dawała mu spokoju.

*

Zakurzone drzwi uchyliły się ze skrzypnięciem. Mężczyzna ostrożnie wsunął się do wnętrza. Kilkoma szybkimi spojrzeniami obrzucił otoczenie. Nie widząc niczego niebezpiecznego, krok za krokiem obchodził niewielkie mieszkanie. Gdy otworzył drzwi do ostatniego pokoju, na moment skamieniał ze strachu, widząc skierowaną na siebie lufę. Dopiero po dłuższej chwili zorientował się, że broń leży tak od dłuższego czasu. W szerokim fotelu siedziały zwłoki starszego mężczyzny. Musiał zachorować na samym początku. Ciało tkwiło tak od dawna, bowiem przez szerniałą skórę przebłykiwały już kości czaszki. Przybysz bez wstrętu sięgnął po broń. Już dawno pozbył się wszelkich uczuć, buszując po okolicznych mieszkaniach. Ciała nie robiły na nim wrażenia. Nie spodziewał się

wszakże tak bogatego łupu. Z zainteresowaniem przyjrzał się znalezisku. Z pewnością nie była to współczesna broń. Kanciasta, niezwykle długa lufa, drewniane łożo z mosiężnym wykończeniem, wreszcie staromodny kurek, mający za zadanie zbić kapiszon. Replika dziewiętnastowiecznego karabinu, wyglądałaby z pewnością wspaniale nad kominkiem. Ważąc broń w dłoni, spoglądał na jej martwego właściciela.

- Nie mogłeś dziadku kolekcjonować czegoś nowocześniejszego? -
Dziwnie zabrzmiały słowa mężczyzny w całkowitej ciszy, spowijającej to miejsce. Spoglądał na ciało, jak gdyby spodziewał się odeń odpowiedzi. Stał tak dłuższą chwilę, po czym przystąpił do metodycznego przeszukiwania, szafa, po szafie, całego mieszkania. Efekt przerósł jego oczekiwania. Całe popołudnie, aż do wieczora, zużył, przenosząc łup dwie przecznice dalej, do siebie. Nie zamierzał nocować w upiornym mieszkanku kolekcjonera, a nie chciał nic zostawić. Ani antycznych, jednostrzałowych, skałkowych samopalów, kul czy pary odrapanych rewolwerów.

- Jeden zasrany, nowoczesny pistolet, to by było coś – mruknął pod nosem, targając w plecaku gąskę ołowiu, ważącą dobre dwadzieścia kilo. Ze złością pomyślał o właścicielu kolekcji. Powoli, nie zwracając uwagi na otoczenie, dotarł do schronienia. Rzucił plecak na podłogę. Deski zajęczały pod nagłym obciążeniem. Nie zwracając na to uwagi, westchnął z ulgą. Przez okna wpadały ostatnie promienie słońca. Pomny przerażającego widowiska, jakie sprawiły mu psy, po zmroku nie ruszał się z miejsca. Zamiast tego, metodycznie posegregował znaleziska. Czekał go pracowity wieczór...

*

Dzień był wyjątkowo słoneczny. Czuł jak pot spływa mu po plecach. Z ulgą łapał każdą odrobinę cienia, dawaną przez puste budynki, ciągnące się smętnie wzdłuż opustoszałej ulicy. W tej okolicy był po raz pierwszy od wybuchu zarazy. Przedmieścia, regularnie niegdyś odwiedzane przez mężczyznę, zmieniły się nie do poznania. Część niskich domków strawił ogień. Wybite okna w pozostałych nie pozostawiały złudzeń, co do ich właścicieli. Już z oddali dostrzegł szeroki fronton potężnego hipermarketu. To był cel jego podróży. Minął opuszczone, brudne samochody i wkroczył na parking. Dostrzegł kilka poczerniałych ciał przed wejściem. Jego dłoń

automatycznie powędrowała do rękojeści rewolweru kapiszonowego, tkwiącego za pasem. Mimo archaiczności, broń dodawała mu pewności siebie. Stał przed wejściem. Leżące przed nim ofiary były niemyym potwierdzeniem paniki, która przetoczyła się przez halę. Ślady stratowania widniejące na ciałach mówiły same za siebie. Tłum nie oszczędził najślabszych pośród siebie. Zadeptał na śmierć. Wzrok podróżnika prześlizgnął się po rozbitych, wyłamanych skrzydłach ruchomych drzwi. Rezerwuar wszelakich dóbr stał przed nim otworem. Wkroczył do wnętrza ostrożnie, starając się, by rozbite szkło nie trzeszczało zbyt głośno. Próżny trud. Odgłos każdego kroku odbijał się echem po hipermarkecie. Przestrzeń, pełną półek i porzrzuconego towaru, skrywał półmrok. Wysoka temperatura na zewnątrz sprawiała, że panował tu zaduch. Na skronie mężczyzny wystąpił pot. Rozglądał się przez moment bezradnie. Gdy jego wzrok padł na wózek, zaczął działać. Pchając go przed sobą, szedł wzdłuż półek, starając się omijać porozbijany, gnijący towar. Dotarł do półek, gdzie całym szeregiem stała puszkowana żywność. W jego sytuacji – skarb, którego nie można było pozostawić na żer komukolwiek. Bez zastanowienia się, napełnił cały wózek. Dopiero, gdy z wysiłkiem ciągnął go ku wyjściu, zaczął się zastanawiać, w jaki sposób dotrze z nim do mieszkania. Zatrzymał się i w tym samym momencie, gdzieś w rogu pomieszczenia rozległ się trzask. Odruchowo przypadł do podłogi, kalecząc sobie dłoń rozbitym szkłem. Syknął pod nosem, przeklinając własną głupotę. Ogarnął wzrokiem ranę. Cięcie naruszyło jedynie zewnętrzną warstwę skóry. Gdyby nie stara rękawiczka, bez wątpienia byłoby znacznie gorzej. Ponowny hałas, odwrócił jego uwagę od krwi.

- Kto tam? - Zapytał zdławionym głosem. Zostawił wózek, przesuwając się powoli do wyjścia. Powoli wezwanie mocniejszym głosem, ale nie uzyskał żadnej odpowiedzi.

- Jestem Piotr Jodłowski, nie mam złych zamiarów... - Kątem oka dostrzegł ruch. Ciało zadziało bez wiedzy właściciela. Rzucił się do przodu, o włos unikając ciosu siekierą. Napastnik, pociągnięty bezwładnością narzędzia zachwiał się na moment, co pozwoliło Jodłowskiemu odskoczyć na bezpieczną odległość. Przeciwnik o długich, zmierzwiionych włosach, odziany jedynie w spodnie, uniósł siekierę do drugiego ciosu.

- Przestań! - Jodłowskiego ogarniała panika. Nigdy nie spotkał się z

bezpośrednim atakiem na swoją osobę. Błysk ostrza sprawił jednak, że ponownie zadziałał instykt samozachowawczy. Bez trudu uchylił się przed ciosem z daleka. Prawa dłoń odnalazła kolbę rewolweru. Szybkim ruchem wyciągnął broń.

- Strzele! - Wyrzucił przez zaciśnięte usta. To był bardziej nieśmiały szept niż groźba i tak odebrał to szalenie z siekierą.

- To strzelaj k..wa – wychrypiął głosem pijaka. Zaatakował z rykiem dzikiego zwierza. Rozległ się pojedynczy wystrzał i niewielką przestrzeń pomiędzy mężczyznami spowił dym. Mimo braku doświadczenia, z tak małej odległości Piotr nie chybił. Na nagim torsie napastnika pojawiła się okrągła, mokra plama, powiększająca się z każdą chwilą. Postąpił jeszcze krok naprzód, ale siekiera wypadła z dłoni, uderzając z brzękiem w podłogowe kafle.

- To jest moje... - Wyszeptał przez spierzchnięte usta wariat –...To wszystko jest moje... - Po brodzie zaczęła mu spływać krwista piana. Jodłowski w milczeniu spoglądał na agonię przeciwnika. Trząśł się jak osika, ale prawa dłoń z całej siły ścisnęła rękojęść broni. Dawała poczucie bezpieczeństwa.

Topornik zwinął się w kłębek, a wokół zbierała się plama krwi. Jego oddech był coraz płytszy. Nic nie mówił, patrzył się bladymi oczyma na półkę przed sobą. Jodłowski powoli przychodził do siebie. Nie czekając na śmierć napastnika, wiedziony jakimś instynktem, ruszył w sam róg hipermarketu. Minął cały dział narzędzi ogrodowych, wygasłe monitory stoiska kredytowego. Tu, gdzie nawet teraz, nie docierały promienie słoneczne. Wydawało mu się, że usłyszał cichy szept, jęk. Pomny wcześniejszej przygody, trzymał rewolwer przed sobą. Wyszedł z alejki i zatrzymał się zdziwiony. Róg hali obłożony został przewróconymi regałami, ułożonymi na podobieństwo muru obronnego. Tylko z jednej strony widniała wąska szczelina, którą szalony napastnik wydostał się na zewnątrz. Z pewnym wahaniem, zanurzył się w ciemny otwór, cały czas trzymając palec na spuście. Wewnątrz schronu panował głęboki mrok. Jedynie odrobina światła przesączała się przez szczeliny w plandecy okrywającej improwizowaną konstrukcję z góry.

- Mam broń! - Warknął, starając się, by słowa zabrzmiały groźnie. Jego

oczy powoli przyzwyczajały się do ciemności. Dopiero po dłuższej chwili dostrzegł niewielki kształt, wciśnięty w najdalszy kąt. Błyszczące oczy wpatrywały się w niego z przestachem. Jodłowski przełknął ślinę i postąpił krok naprzód. Przesunął się na bok, by odsłonić wejście. Odrobina światła rozjaśniła nieco wewnątrz. Powiódł wzrokiem po drucie, którym skrępowano drobne dłonie dziecka. Okręglą buzia, zmierzwiona, jasna fryzura, podarte ubranko, przez które przeświecało ciało pokryte siniakami. Dziewczynka nie miała więcej niż dziesięć lat. Wpatrywała się w Piotra z przerażeniem. Bezwiednie kręciła głową w przeczącym geście.

- Nie...nie... - Zaprzeczenie przerodziło się w cichy jęk. Wciskała się pod jeden z regałów, jak kot zapędzony w ślepy zaułek. Posiniałe rączki unosiły się w obronnym geście.

- Spokojnie mała, tylko spokojnie... - Zaczął Piotr uspokajającym tonem. Jego zabiegi odniosły przeciwny skutek. Niewielkie pomieszczenie wypełnić krzyk przerażenia dziecka. Zaraz po nim drugi. Mężczyzna niewiele myśląc, skoczył naprzód, kneblując usta dziewczynki dłonią. Przytrzymał szarpiące się ciało. Dziecko walczyło przez chwilę, ale nie mogąc się wyzwolić z uścisku, znieruchomiło.

- Już po wszystkim, spokojnie... - Powtarzał niczym mantrę, podświadomie dobierając słowa. Jednocześnie usiłował rozplątać drut, którym skrępowano okrwawione nogi dziewczynki. Z niepokojem dostrzegł ropiejące, otwarte rany. Dziecko, widząc, że nieznajomy chce pomóc, przestało się szarpać. Korzystając z obu rąk, bez problemu je oswobodził.

- Dziękuję... - Wyszepiała po dłuższej chwili. Brudną twarzyczkę przecięły czyste ślady łez. Płakała cicho, pociągając nosem. Jak gdyby chciała wyrzucić wszystko, co ją spotkało. Piotr czekał w milczeniu. Stanął w przejściu i raz po raz spoglądał na halę hipermarketu. W duchu cały czas powtarzał sobie, że przecież okolica jest bezludna. Chociaż z drugiej strony – szaleniec i jego małoletnia niewolnica nie byli wytworami jego wyobraźni. Umysł wołał, aby uciekać z łupem, ale nie potrafił zostawić płaczącej. Zakrwawiona i pobita, sama nie miała najmniejszych szans przeżycia.

- Możesz iść? - Zapytał cichym głosem, modląc się w duchu, by dziewczynka nie była w szoku. Odpowiedziała mu cisza, ale dziecko

wstało i pierwotnym gestem chwyciło drżącą rączką jego dłoń. Wysunęli się poza namiot. Nie śpieszył się. Widział, że dziewczynka z wysiłkiem stawia kroki. Rany na kostkach musiały mocno doskwierać, ale mimo tego szła naprzód, nadganiając. Jakby w obawie, że Jodłowski ją zostawi. Dotarli do wózka z konserwami. Popychając go naprzód wyjechali ze zrujnowanego wnętrza, mijając martwe ciało szaleńca.

*

Przez okno wpadały ostatnie promienie słońca. Cichy jęk bólu oderwał na chwilę uwagę Piotra od broni leżącej na stole. Mężczyzna potrząsnął głową z rezygnacją. Nie znał się na tym. Awaria, blokująca bęben, być może banalna, wyeliminowała ją z użytku. Siedział nad nią całe popołudnie, nie uzyskując żadnych efektów. Bał się użyć większej siły, by nie zniszczyć rewolweru. Miał świadomość, że drugi raz, takie znalezisko może mu się nie trafić. Wstał od stołu i przeszedł do pokoju. Uwolniona dziewczynka leżała tam nieprzytomna, okryta jedną z kilkunastu kołder, które przytargał do swojego schronienia. Z niepokojem spojrzał na bladą, zroszoną potem, twarz towarzyszki. Nie wiedział, jak jej pomóc. Rany na nogach nie goiły się. Czerniejące tkanki wokół zwiastowały najgorsze. Jak zapobiec zakażeniu, gdy nie miał ani wiedzy, ani leków?. Mógł tylko poić ją i być obok. Mała słała z każdą godziną. Zapadał zmrok i czuł, że będzie to jej ostatnia noc. Siedział w milczeniu, głąskając ją po mokrej główce. Zasnął nie wiedząc kiedy. Nie był to przyjemny sen, widział rozwarłe szeroko oczy szaleńca z siekierą, psy szarpiące zwłoki, wreszcie szkielet, przy którym obudził się gwałtownie. Oddychał głęboko, patrząc w szarość nadchodzącego poranka. Odruchowo cofnął dłoń, czując lodowatą skórę. Dziewczynka, którą uratował, leżała blada jak papier. Musiała umrzeć zaraz po północy. Drobne ciało zdążyło już zeszywnieć. Organizm nie zdołał zwalczyć ogarniającej go infekcji. W milczeniu patrzył na nią, nie mogąc wykrztusić z siebie choćby jednego słowa. Znowu został sam. Wśród czterech ścian i dziesiątek budynków. Setek bezimiennych ciał i dwójki tych, których będzie pamiętał już zawsze. Szaleńca, którego zabił i tego dziecka, którego nie zdołał ocalić. Dopiero około południa zaniósł ją do budynku naprzeciwko. Zamknął w jednym z mieszkań i zatarasował wejście. Stał dłuższą chwilę przy odrapanych drzwiach. Nie potrafił znaleźć słów, dlatego pożegnał bezimienną w milczeniu. Wyszedł przez budynek, zamyślony, nie rozglądając się. Przeszedł połowę odległości do

swego schronienia, gdy zamarł, słysząc w oddali silny, męski głos.

- Stój! - Piotr powoli obrócił głowę. Zapomniał o dziewczynce, szaleńcu, o wszystkim. Liczyła się jedynie kanciasta lufa długiego karabinu, mierząca prosto w niego. Unosząc dłonie do góry, przeklinał sam siebie w myślach. Nowy, okrutny świat nie wybaczał błędów. Zwłaszcza takich. Zmrużył oczy, starając się dostrzec twarz właściciela broni. Dostrzegł jedynie oczy, skupione na przyrządach celowniczych.

- Ręce w górze – padł krótki rozkaz. Nie mając innego pomysłu trzymał je nad głową. Obcy ruszył powoli w jego stronę, nie opuszczając broni. Jodłowski przygryzł wargi. Jak błyskawica, przeszło mu przez myśl by uciekać. Nim zdołał zrealizować zamiar, warknięcie mężczyzny powstrzymało go od wszelkiej akcji.

- Nie radzę – rozmówca Piotra stanął niecałe dwadzieścia metrów od niego – cokolwiek ci przyszło do głowy, nie próbuj – Jodłowski przełknął ślinę. Dostrzegł u mężczyzny rewolwer w kaburze przy pasie i rękojeść drugiego, wystającego spod pachy.

- Masz broń? - Suche pytanie, na które odpowiedział przeczącym ruchem głowy.

- Zobaczymy – stwierdził obcy, wprawnie zakładając karabin na ramię. Jednym płynnym ruchem wydobył rewolwer.

- Obróć się i klęknij. Sprawdzę sam – Jodłowski wykonał polecenie. Obcy wprawnie go obszukał. Zapadła cisza. Zniecierpliwiony Piotr zapytał, nie odwracając się.

- Mogę już się obrócić? - Ku jego zdumieniu odpowiedział mu urywany chichot. Po chwili usłyszał odpowiedź.

- Wstawaj, wstawaj...

ZA WSZELKĄ CENĘ – PRZETRWAĆ!

W pokoju raz po raz rozbrzmiewał cichy odgłos szlifowania metalu. Piotr siedział pod ścianą, w milczeniu spoglądając na fachową pracę nowego współlokatora. Z wprawą zabrał się do uszkodzonego rewolweru. W kilka minut rozmontował go, rozkładając na części pierwsze. Biedził się teraz nad jedną z części, której nazwy Piotr nie potrafił określić. Chwilami wydawało mu się, że to sen. Żywy człowiek, który nie chce go zabić. Ufający mu na tyle, by obrócić się plecami i zająć pracą....

Minął już tydzień, odkąd spotkali się na ulicy. Gdy żegnał się z życiem, spoglądając wprost w lufę odprzodowego karabinu. Nowy znajomy okazał się być wartościowym towarzyszem. Z pewnością górował nad nim umiejętnościami przetrwania w nowym, okrutnym świecie.

- Piotrze, podejdźcie no tu – rusznikarz samouk nawet się nie obrócił. W jego głosie pobrzmiwały wesole tony. Mimo przerażającej sytuacji, otaczającej zewsząd śmierci, potrafił się zdobyć na uśmiech i żart.

- Ależ oczywiście Wiktorze – próbował odpowiedzieć na tą samą nutę, choć wydawało mu się to sztuczne, aż do bólu. Usiadł przy stole, ustawionym tak, by słońce padało wprost na rozłożone części broni.

- Tu masz popychacz bębna, tu blokadę – objaśniał ze znanstwem Wiktor, wskazując odpowiednie elementy. Przesunął jeden z nich i wskazał na błyszczącą krawędź.

- A tu było pęknięcie. Trzeba je było zeszlifować. Powinno działać jak marzenie – wstał od stołu, budząc zdziwienie towarzysza. Teatralnym gestem zaprosił go na swoje krzesło i zapowiedział.

- Teraz kolej na ciebie. Krok po kroku złożysz tę bestię – Jodłowski pokiwał potakująco głową, siadając na wskazanym miejscu z dużą dozą niepewności. Nigdy nie miał smykałki do techniki. Jego największym osiągnięciem do czasu choroby była wymiana koła w samochodzie. Zdawał sobie jednak sprawę, że nie ma innego wyjścia. Brak wiedzy w tym zakresie mógł go kosztować życie.

- Zaczynamy od popychacza – poinstruował go Wiktor, wskazując miejsce

w szkielecie broni.

- Potem kurek, tu łączysz je śrubką... - Krok po kroku Jodłowski zyskiwał coraz więcej pewności siebie. Wreszcie, z biciem serca, przykręcił okładki rękojeści. Podniósł głowę do góry, napotykać rozbawiony wzrok kolegi.

- I co teraz? - Piotr zerknął na złożoną broń, jak na świętego Grala – chyba mi się udało?.

- To się okaże gogusiu. Naciągnij kurek w pierwsze położenie i sprawdź, czy bęben się kręci – w powietrzu rozległo się charakterystyczne „kliknięcie”. Wiktor pokiwał potakująco głową.

- Teraz odciągnij do końca – próbował palcami poruszyć bęben, ale ten, zablokowany nie drgnął ani na milimetr. Mężczyzna cofnął się o pół kroku z uśmiechem na ustach.

- No – rzucił zadowolony – teraz jest w porządku. Gotowy do otwarcia ognia. - Piotr ostrożnie opuścił kurek. Spojrzał za towarzyszem niedoli. Ten zniknął w kuchni, skąd dobiegł odgłos szczękających sztućców.

- Chcesz coś zjeść? - Jodłowski zaprotestował cichym głosem. Wiktor wrócił, siadając na kanapie. Z otwartej konserwy wydobywała się woń mielonego mięsa, mile łechcąca kubki smakowe. Wydawało się, że domorosły rusznikarz jest najbardziej zadowolonym człowiekiem w tej części świata. Dopiero po dłuższej chwili zorientował się, że jest obserwowany, ale opacznie to zrozumiał.

- Zmieniłeś zdanie? - Jodłowski pokiwał przecząco głową i zapytał ponurym, wręcz grobowym głosem.

- Jak ty to robisz człowieku? - Słyszając to pytanie, Wiktor drgnął, a przez jego twarz na moment przebiegł dziwny skurcz. Powoli odłożył otwartą konserwę na stół. Otarł usta. Dopiero wtedy spojrzał prosto w oczy Jodłowskiego.

- Co robię? - Chociaż pytanie zabrzmiało autentycznie, Piotr nie mógł się pozbyć wrażenia, że doskonale zna odpowiedź. Utracił nagle całą pewność siebie, ale to on zaczęła i odwiekanie dalszego ciągu dyskusji nie wyszłoby nikomu na zdrowie.

- Jak zachowujesz taką pogodę ducha. Wiesz co tam się dzieje – ruchem

głowy wskazał na uchylone okno. Przemknęło mu przez myśl, że nie zapytał go nigdy o wiek. Ile mógł mieć lat? Trzydzieści? Czterdzieści?. Potrzęsnał głową i dodał zniechęcony

- Tam już nic nie ma poza śmiercią i szaleństwem... - Jodłowski nie odwracał wzroku, wyrzucając z siebie kolejne słowa. Wiktor uosabiał mu w tej chwili cały, okrutny świat, do którego mógł zanieść skargę. Choć przez chwilę mógł wrócić do czasu, gdy mógł zasięgnąć rady, pójść do sądu, aby walczyć o swoje w cywilizowany sposób.

- Istotnie – westchnął Wiktor, rozsiadając się wygodniej na wersalce – niewiele więcej tam znajdziemy. Jest tam tego wystarczająco dużo, abyśmy nie musieli dokładać naszych własnych cegiełek. - Spoglądał uważnie na Jodłowskiego, jakby starał się ocenić jego stan psychiczny.

- Ci, którzy zwariowali, już to zrobili. Pozostaliśmy my – głos Wiktora brzmiał poważnie. Zerknął w okno.

- Mi udało się przeżyć. Zaraza pochłonęła całą moją rodzinę. Istotnie, niewiele brakowało do obłędu, zwłaszcza na początku... - Przerwał, patrząc szeroko otwartymi oczyma. Przywoływał wspomnienia, które na zawsze wypaliły ślad w jego pamięci.

- Żyjemy – podjął po dłuższej chwili ciszy. Jodłowski nie śmiał jej przerwać.

- To była pierwsza rzecz, jaką sobie uświadomiłem. Żyję. Mogę codziennie rano zobaczyć wschód słońca. Mam co jeść – każde jego słowo cechowała większa siła, energia. Opuścił wzrok, krzyżując go z Piotrem.

- Obaj mieliśmy naprawdę cholernie dużo szczęścia. Przetrwaliśmy epidemię! Nic nie zrobiło sobie z nas karmy. Mamy broń, amunicję, zapasy żywności – dopiero teraz oczy bruneta złagodniały.

- Oddychasz, działasz, wciąż istniejesz... - Zamachał dłonią, jak gdyby chciał zaprzeczyć ostatnim wzniosłym słowom. Zamaskował patetyczność ostatniego zdania szerokim uśmiechem.

- I znowu się tłumaczę, znowu żarcik – wzruszył ramionami i sięgnął po konserwę – zostały nam te drobne radości. Wykorzystajmy je najbardziej, jak się da...

- Nie można odmówić ci racji – bąknął zmieszany Jodłowski. Nie spodziewał się tej krótkiej spowiedzi, wynikłej tak niespodziewanie.

- Pewnie że nie można – z humorem stwierdził Wiktor, podając mu konserwę.

- Jedz chłopaku i nie łam sobie głowy. Jesteśmy na dnie, możemy iść już tylko do góry....

*

Zmrok powoli ogarniał wyludnioną dzielnicę. Długie cienie układające się wzdłuż ulicy świadczyły aż nadto wyraźnie, że zbliża się noc. Gdzieś w pobliżu rozległo się pojedyncze brzęknięcie, po czym nagle, zza węgła budynku potoczyła się z hałasem pusta puszka. Chwilę później, tuż nad powierzchnią popękanego asfaltu pojawiła się brodata twarz. Mężczyzna uważnie zlustrował pustą drogę. Uspokojony wynikami oględzin wstał. Nie obracając głowy, rzucił przez ramię.

- Czysto... - Towarzyszący mu, wychudzony brunet skinął z aprobatą. Obaj uginali się pod ciężarem dużych plecaków, wypchanych po brzegi. Ociężale ruszyli wzdłuż muru, byle bliżej zniszczonych, zaniedbanych budynków ciągnących się szarymi, popękanymi ścianami wzdłuż ulicy. Idący przodem Wiktor, raz po raz zerkał przed siebie, usiłując w zapadającej szarówce dostrzec ewentualne zagrożenie. Jego towarzysz poruszał nogami jedynie siłą woli. W głowie miał jedynie odpoczynek po długim marszu z konserwami na plecach. Nawet rewolwer, mimo upomnień kolegi, schował do kabury, mającej się przy pasie. Mijali tą samą trasę któryś raz z rzędu, transportując zapasy do niewielkiego domku, zamienionego przez nich w improwizowaną twierdzę. Każdy krok opłacał bólem steranych mięśni. W pewnym momencie zdał sobie sprawę, że po cichu, ledwie poruszając wargami, przeklina swego towarzysza i jego chorobliwą zapobiegliwość. To właśnie Wiktor uparł się, aby ogołocić całą okolicę z żywności i zgromadzić ją w schronieniu. Mimo tego, że domek miał piwnicę, suto zaopatrzoną w przetwory. Zapas na kilka lat....

- Mówiłeś coś...? - Jodłowski zatrzymał się wpół kroku, w ostatniej chwili dostrzegając plecy współtowarzysza. Wiktor zatrzymał się, uważnie obserwując teren przed sobą. Mieli do pokonania szerokie rondo. Centrum zarosło krzakami, nie pozwalając dostrzec ulicy, przy której stało ich

schronienie. To była jedyna niedogodność. Szeroka przestrzeń zbiegających się ulic, gdzie sylwetka człowieka była doskonale widoczna z daleka.

- Ech, za dużo tej twojej paranoi... - Burknął Piotr. Jeszcze do niedawna uważał, że za wszelką cenę powinien wystrzegać się kłótni z współlokatorem. Jednak spory wysiłek, jaki wkładał w bezcelowe, według niego, zbieranie nadmiernych zapasów, sprawił, że zaczynał się buntować. „Z jakiej racji mamy robić to, co wymyślił sobie Wiktorek?” - Pomyślał złośliwie i postąpił krok naprzód, mijając kolegę.

- Zwariowałaś? - Piotr nie spodziewał się silnego szarpnięcia za ramię. Był tak osłabiony, że bezwładnie zwałił się na betonowe płyty chodnika. Konserwy, ukryte w plecaku, boleśnie obity mu plecy. Nie panując nad sobą, jęknął głośno.

- Teraz przesadziłeś! - Warknął Jodłowski, czując pulsujący ból w okolicach kręgosłupa – i nie myśl.... - Przerwał, gdy Wiktor bezceremonialnie zatkał mu usta dłonią. Chciał się oswobodzić, ale pasy nośne plecaka skutecznie go unieruchomiły

- Zamknij się do cholery... - Napięcie w głosie towarzysza, zwróciło wreszcie uwagę Piotra – słuchaj.... - Ostatnie promienie słońca pochłonał mrok. Do uszu obu mężczyzn dobiegło echo dalekiego krzyku rozpacz i zapadła cisza. W duszy Jodłowskiego natychmiast pojawił się strach. Zapomniał o bólu, złości. Teraz liczyło się jedynie bezpieczeństwo. Kilкома szybkimi ruchami uwolnił się od ciężaru plecaka. Zmarszczył brwi, widząc, że Wiktor wciąż stoi, niczym przodownik stada, spoglądając w stronę niebezpieczeństwa.

- Spadajmy stąd... - Piotr nie bawił się w eufemizmy. Mimo chłodu nocy, jego ciało oblał pot. Czuł gwałtowne bicie serca. Jakaś niewypowiedziana groźba kryła się za tą odległą skargą anonimowej ofiary.

- Przeskakuj na drugą stronę... - W odpowiedzi, współtowarzysz skinął głową, zdejmując z ramion swój pakunek. W jego dłoniach pojawił się karabin, którym zagroził Piotrowi podczas pierwszego spotkania. Jodłowski nie zamierzał się kłócić z kolegą. Spiał się do biegu. Mimo bólu mięśni nóg, przebył przestrzeń czteropasmowej drogi błyskawicznie. Gdy obrócił się w stronę kolegi, zza chmur wyłonił się księżyc, oświetlając

bladą poświatą wstęgę ulicy. Piotr zastygł w bezruchu, niczym zwierzę na chwilę przed atakiem Kobry. Do skrzyżowania zbliżała się kilkanaście biegnących cieni. Tuż przed nimi, wyraźnie tracąc siły, pędziła drobna postać. Uciekinier nie miał najmniejszych szans ująć pogoni. Mimo to nie poddawał się. Walczył o życie do ostatniej chwili. Jodłowski spojrzał na współtowarzysza, bezgłośnie otwierając usta. Nie był w stanie wyartykułować ani jednego dźwięku. Umysł krzyczał, aby uciekać, schronić się w bezpiecznej „twierdzy”. Stał jak wryty, widząc, jak Wiktor składa się do strzału. Rozbłysk i ostry huk, jaki się przetoczył, otrzeźwił Jodłowskiego. Machnął do strzelca dłonią w geście pośpiechu. Ku jego rozpaczy, współlokator wyciągnął z kieszeni ładunek prochu wraz z kulą i wprawnie załadował broń, ponownie składając się do strzału.

Upiorny pościg był coraz bliżej. Piotr obrócił głowę w jego stronę. W blasku pełni widział wyraźnie drobną kobietę, ostatkiem sił pokonującą ostatnie metry do skrzyżowania. Tuż za nią, gromadę obszarpanych ludzi z groteskowo wykrzywionymi twarzami. Niczym wściekłe drapieżniki, szczyrzyli zęby, nie zwracając uwagi, że jeden spośród nich leży na drodze, zwijając się z bólu. To zaważyło. Lęk o własne istnienie wziął nad nim górę. Nie bacząc na nic, obrócił się na pięcie i pognał przed siebie. Strach, który sięgnął lodowatymi szponami wprost ku jego duszy, dodawał mu sił. Skulił się, słysząc kolejne, słabsze wystrzały z rewolwerów. Świadczyły aż nadto wyraźnie o tym, że Wiktor postanowił zostać. Uciekający skręcił za róg najbliższego domu. Dopiero wtedy odważył się spojrzeć przez ramię. Nie widząc pościgu, odetchnął z ulgą. Panika nie pozwoliła mu się zatrzymać. Nie kluczył, pędził wprost ku jasnej plamie „twierdzy”, widocznej w oddali. Nie zareagował na kolejne strzały. Dopadł do muru. Drżącymi dłońmi sięgnął po przemyślnie zamaskowaną linkę. Szarpnięciem ściągnął sznurową drabinę. Sapiąc jak miech zaczął wdrapywać się w górę.

Dopiero w oknie pierwszego piętra obrócił się, akurat w momencie, by dostrzec dwa odległe błyski wystrzałów. Z tej odległości nie sposób było dostrzec co się dzieje na skrzyżowaniu. Ciszą, jaka zapadła w tamtym miejscu, miała swoją wymowę.

Wtedy usłyszał wycie. Nieludzki wrzask istoty niegdyś będącej człowiekiem. Jodłowski uspokajał oddech, wciąż patrząc w kierunku

miejsca starcia. Wydało mu się, że widzi kilka cieni, poruszających się ulicą. Żołądek podjechał mu do gardła. Odruchowo sięgnął po szczebelki drabiny i wciągnął ją do góry. Dopiero teraz poczuł się bezpieczniej. Cofnął się pół kroku w ciemność korytarza, cały czas usiłując dostrzec coś na ulicy. Tam jednak zapanował spokój. Mijały minuty. Na niebie pojawiły się chmury, przesłaniając księżyc. Zapadły całkowite ciemności. Uciekinier nie opuszczał posterunku, chociaż rozsądek podpowiadał, że nie ma już po co czekać. Po strachu, jaki go opanował, nie pozostał ślad. Czuł w dłoni ciężar rewolweru, cztery metry dzielące go od gruntu dodawały animuszu.

- Czemu nie uciekałeś, idioto – rzucił w mrok pod adresem nieobecnego Wiktora, usiłując pozbyć się ciasnej obręczy wstydu, ściskającej żołądek. Potrzęsnał głową i naraz, niespodziewanie dla siebie, zachichotał dziko. Odetchnął głęboko i oparł się o ścianę. Organizm, wyczerpany wielogodzinną wędrówką i nagłym, niespodziewanym starciem, domagał się odpoczynku. Piotr zasnął, nie wiedząc kiedy.

*

Ostre, poranne słońce oświetlało miejsce nocnego starcia. Rdzawe plamy krwi znały miejsca celnych strzałów. Piotr ostrożnie, kryjąc się przy żywopłocie, szedł powoli naprzód. Dostrzegł jakiś kształt, leżący na ulicy i ruszył w tamtym kierunku. Przełknął ślinę. Rozpoznał go. Karabin Wiktora. Kolbę pokrywała zakrzepła krew. Ponownie rozejrzał się, ale wokół było pusto. Gdyby nie brak współtowarzysza, mógłby uznać, że wczorajsze wydarzenia były jedynie sennym koszmarem. Jednym susem przypadł do broni i natychmiast popędził z powrotem. Dopiero pod osłoną cienia żywopłotu poczuł się bezpieczniej. Wczołgał się pomiędzy gęste krzaki i usiadł. Do tej chwili sądził, że przyjaciel w jakiś sposób ocalił swoje życie. Paniczny strach ponownie ścisnął go za gardło. Kurczowo ściskając karabin, przeczłogał się za budynek. Kilka minut później był już bezpieczny, w „twierdzy”. Przywitała go pustka. Zrozumiał. Strach, który ścisnął mu gardło, był obawą przed nieznośną samotnością. Nocna ucieczka uratowała mu życie, ale skazała na wegetację. I wtedy przyszły mu do głowy słowa Wiktora.

- „Oddychasz, działasz, wciąż istniejesz...”

SPIS TREŚCI
PRZERWANY SEN
LUDZIE
ZA WSZELKĄ CENĘ – PRZETRWAĆ!

Zapraszam gorąco na swoją stronę do lektury innych opowiadań, oraz do wydanych już pozycji literackich. Do zobaczenia na kartach powieści

www.tomaszbiedrzycki.pl

Jelenia Góra 2017

ISBN 978-83-64514-64-7